1923 r. LIPIEC № 12.

PRZEGLĄD MYŚLIWSKI

ŁOWIECTWO POLSKIE

DWUTYGODNIK ŁOWIECKI POD REDAKCJĄ JULJANA EJSMONDA

Komitet Redakcyjny: Gen. Bronisław Grąbczewski, Wł. Janta-Połczyński i Włodzimierz Korsak.

Redakcja: Warszawa, Szpitalna 1 m. 1. Administracja: Szpitalna 12. Redaktor przyjmuje we wtorki od godz. 4 i pół do 5 po poł.

WARSZAWA — POZNAŃ.



POŁĄCZENIE „ŁOWIECTWA POLSKIEGO“ z „PRZEGLĄDEM MYŚLIWSKIM“

Od 1 lipca przestało wychodzić „Łowiectwo Polskie“ w Poznaniu. W dniu tym nastąpiło połączenie pod wspólnym tytułem:

„Przegląd Myśliwski i Łowiectwo Polskie“

Powody, które się złożyły na przeniesienie „Łowiectwa Polskiego“ do stolicy kraju i połączenie z „Przeglądem Myśliwskim“ były następujące: niemożliwość dalszego rozwinięcia pisma w warunkach prowincjonalnych, a jednocześnie konieczność stworzenia organu, któryby odpowiadał tradycji polskiego łowiectwa oraz kulturalnemu jego znaczeniu. Rozdzielone dotąd trzema kordonami usiłowało myślistwo polskie w swym ciasnym i niewolą duchową ograniczonym zaborze zadość uczynić przyjętym obowiązkom według najlepszej wiedzy i możności. W każdej dzielnicy wychodzące pismo nie mogło skrępowane prawem i kulturą obcego państwa sprostać podjętemu zadaniu. Synowie jednej matki, jednym mówiący językiem, w dziedzinie łowiectwa byli sobie obcy, rozbieżnej gwary i—mówmy otwarcie—i dzisiaj są jeszcze sobie obcy i rozbieżnych pojęć.

Czas najwyższy, aby to vae victis granicznych słupów z drapieżnemi cesarskiemi orłami oddzielające nas tak długo znikło i duchowo na zawsze. Czas najwyższy, aby i na polu myślistwa z „pedanterji pruskiej“ i z „szerokiej natury rosyjskiej“ wyzwoliła się i wytworzyła dusza sarmacka biorąc od wrogów, co dobre, a odrzucając, co z kulturą dzisiejszą niezgodne. Łącząc się w byłych dwuch zaborach w jedno ogniwo, pragniemy je spoić, pragniemy w nich stworzyć pismo mogące sprostać takim wysokim zadaniom.

Ale jak każdy naród ma taki rząd na jaki zasługuje, tak i myślistwo polskie taki będzie miało organ, na jaki się zdobędzie. Koncentrując ruch umysłowy myśliwski w stolicy kraju i powołując do jego kierownictwa i współpracy najwybitniejszych fachowców, stworzone zostało to, co do powodzenia i wymagań naszego inteligentnego społeczeństwa było potrzebne. Dalszy rozwój i rozszerzenie pisma, które w przyszłości projektujemy, nie zależy już od nas, ale od poparcia jakiego mamy prawo oczekiwać. Wychodzi tyle tygodników sportowych, czy Polska nie powinna się zdobyć na godny jej tygodnik myśliwski?

Program nasz jest prosty, jak prostą i szczerą powinna być dusza myśliwego: nic dla osobistej ambicji, nic dla serwilizmu, pochlebstwa i ubocznych celów, wszystko dla postępu prawdy i idei.

Przedewszystkiem pismo nasze ma być fachowem, poruszać więc będzie sprawy naukowe na najświeższych badaniach i doświadczeniach oparte z hodowli, kinologji, ballistyki i zoologji myśliwskiej, powiadamiać o wszystkich na tym polu zdobyczach wiedzy. Nie odrzuci wszakżeż i belletrystyki myśliwskiej, która z jednej strony służąc rozrywce, z drugiej ma w popularny sposób zapomocą zajmujących opowiadań nakłonić czytelnika do zapoznania się w łatwy sposób z fachowym i prawidłowym myślistwem.

Stać też będzie nietylko na straży wszelkich pisanych praw, wytykać i karcić z którejkolwiek strony naruszone by zostały, czuwać zaś nietylko nad zachowaniem i ustaleniem gwary myśliwskiej, ale i jednocześnie nad zachowaniem prawideł i nad poprawą obyczajów myśliwskich, tak wiele jeszcze u nas pozostawiających do życzenia. W tym celu służyć będziemy wszystkim myśliwym dobrej woli, wszystkim Towarzystwom, Klubom, Kołom i Zrzeszeniom łowieckim całej Rzeczypospolitej, jako miejsce do wyrażenia swych myśli — swych żądań — w łączności z naszym programem i naszemi zadaniami pozostające, jako organ niezależny i bezstronny.

Redakcja „Łowiectwa Polskiego“.
Redakcja „Przeglądu Myśliwskiego“.

Wspomnienia myśliwskie z Azji Środkowej.

V. Łowy na tygrysy.

Pamiętam jeszcze taką przygodę. Polowałem na bażanty w dolinie rzeki Gulczynki o $1\frac{1}{2}$—2 kilometrów od fortu Gulcza, gdzie stale konsystował wśród kirgizów oddział wojsk rosyjskich. Bażantów było dużo, ale w braku psa i z powodu gęstych zarośli posłałem kilku konnych dżygitów, którzy jadąc uderzali w przywiązane do siodeł bębenki używane do polowania z sokołem i płoszyli bażanty, a ja jadąc konno wysokim brzegiem rzeki — strzelałem z konia do tych, które wyrywały się z gąszczy lecąc w moją stronę. Z urwistego brzegu rzeki dobrze widziałem swoich ludzi, którzy to kryli się w gąszczach zarośli, to wyłaniali się na otwartych polankach, tak że posuwaliśmy się naprzód w jednej linji o jakie 100 kroków jedni od drugich. Ze sobą miałem tylko jednego z dżygitów, który zbierał zabite bażanty i troczył je do swego siodła.

Naraz widzę, że przedni z dżygitów w zaroślach gwałtownie wymachuje czapką dając znak żebym się zatrzymał, krzycząc „Uważaj!“ Było to prawie w chwili kiedy miałem przeciąć głęboką wyrwę i znowuż podnieść się na wysoki brzeg rzeki. Miałem czas ściągnąć lejce żeby zatrzymać konia, gdy siwek mój, kirgiz o stalowych nogach i nadwyraz spokojnym temperamencie, tak gwałtownie rzucił się w bok, że omal z siodła nie wyleciałem, a jednocześnie zobaczyłem tygrysa, który wybiegł z zarośli do wyrwy i ciągnąc długim ogonem po ziemi powolnym kłusem oddalił się w górę.

Z przytoczonych wypadków osobistych zetknięć z tygrysami w ciągu mojej przeszło 20-letniej służby w Środkowej Azji wynika, że tamtejsze tygrysy nie boją się ludzi, trzymają się często w najbliższej od nich odległości, bo czatują na ich stada, ale napadają na ludzi tylko w ostateczności. Wyjątek stanowią tygrysy które już sprobowały ludzkiego mięsa. Wtedy polują na ludzi jak na każdą inną zwierzynę, Tygrysy zamieszkują albo w wysokich trzcinach na rozlewach rzek, gdzie gnieżdżą się dziki, albo w gąszczach lasów liściastych, albo wreszcie w gąszczach dolin górskich, rzeczek porosłych głogiem, cierniem, karłowatemi krzewami dzikiego migdału i t. d, Jest jakiś dziwny związek między tygrysem, a bażantem, Gdzie dużo bażantów, tam łatwo spotkać się z tygrysem. Na czem polega ta zależność—nie wiem, gdyż tygrysy chyba nie polują na bażanty. Przynajmniej ja całemi latami polując na bażanty—nigdy nie napotkałem nic, co by mogło na to wskazywać.

VI.

Opowiadanie moje o tygrysach Środkowej Azji byłoby niepełne, gdybym nie wskazał na południowo-zachodnią część pustyni Gobi, t. zw. Taklamekan Kum, gdzie ich wielka ilość przebywa w rozlewach ogromnych rzek spadających z gór Tiań Szania i Kuen-Lunia. Rzek tych kilka Jarkiend Darja, Chotan Darja, Kierga Darja i t.d. Latem, w czasie tajania śniegów i lodowców w górach rzeki te zawierają olbrzymią ilość wody. Małą jej część zaledwie pożytkują krajowcy Kaszgarji w kanałach nawodniają ych rozprowadzając po polach, reszta na dziesiątki wiorst wlewa się w piaski tworząc ogromne rozlewy, jeziora, trzęsawiska, aż wreszcie ginie w bezwodnej pustyni Gobi. Rozlewy te porosły topolowemi lasami oraz olbrzymią trzciną, w której człowiek na koniu niknie jak w głębi wodnej. Oczywiście widziałem tylko niewielką część rozlewów rzeki Chotan Darji, poczynających się o 100—120 kilometrów na północ od miasta Chotana. Jest to ogromna rzeka; mimo tego ginie bez śladu w piaskach. Tam gdzie woda stale dochodzi spotykają się laski topoli (miejscowa nazwa ich „tugrak“). Są to topole z okrągłemi liśćmi, które wysychają, kruszą się, a wiatr je roznosi daleko. Dziwny mają wygląd te lasy rosnące na gołym piasku. Dalej—olbrzymie trzciny morskie, z których wyłaniają się wysokie góry lotnego piasku. Ludzi niema tam zupełnie bo niema pól. Za to zwierzostan — nigdzie niewidziany. Ogromne stada antylop, dzików, dzikich osłów — nie mówiąc już o ptactwie wszelkiego rodzaju. Widzieliśmy stada dzikich koni (eq. Przewalski) nawet dzikich wielbłądów (może zdziczałych), słowem było wszystko co może zachwycić myśliwego. Tu też spotykaliśmy dużo śladów tygrysich, lecz samych nie widzieliśmy. Warunki do polowania są tu bardzo trudne; po pierwsze wskutek wysokiej i gęstej trzciny, w której człowiek niknie, traci orjentację i może posuwać się tylko po ścieżkach wydeptanych w trzcinie przez dzikie zwierzęta, powtóre zaś — wskutek niezwykłej ilości ogromnych komarów, które tną przez ubranie, tną nawet w dzień, w słońcu, czyniąc bolesne bąble. Komary mirjadami obsiadają konie, które chudną z tego powodu i marnieją. O ciężkim położeniu w jakim może się okazać podróżny w tamtejszych stronach świadczy napis wycięty na korze olbrzymiego tugraka: „Podróżniku! Jeżeli poraz pierwszy tą drogą poszedłeś — nie masz winy w tobie. Nie wiedziałeś. Ale jeżeli drugi raz pójdziesz tą samą drogą — jesteś gorszy od niewiernego i świni“.

Sądzę, że późną jesienią kiedy mrozy wygu-

biją komary—warunki myśliwskie mogą być lepsze. Ale nie wiem jak rzecz się ma wówczas z wodą, bo rzeka prawie że wysycha, zwierz musi się więc chronić przy jakichś niewiadomych zbiornikach wody i trudno trafić na niego w tej części pustyni.

W 1896 roku byłem mianowany pogranicznym komisarzem Rosji z Chinami. Z Turkiestanem rozstałem się na zawsze. Jak wiadomo, granicę Rosji z Chinami na przestrzeni około 3.000 kilometrów stanowi rzeka Amur. Lewy brzeg tej rzeki jest rosyjski, prawy—chiński. Na lewym co 25—30 kilometrów znajdują się stanice kozaków amurskich a za niemi wioski emigrantów z Rosji. Na prawym — posterunki wojsk chińskich a za nimi intensywna kolonizacja chińska. Stąd zimą i latem mnóstwo zawikłanych sporów, krwawych bójek, czasami zbrojnych wzajemnych napaści, a wskutek tego ciągłe zbrojne pogotowie. Zimą objazd rejonu był bardzo trudny. Latem naodwrót. Miałem swój szybki dobrze urządzony stateczek z działem oraz załogą 15 kozaków do ścigania Chunchuzów (piratów chińskich). Spędzałem na nim 5 letnich miesięcy i zdążyłem w tym czasie co najmniej dwa razy objechać nie tylko cały rejon, ale zbadać niektóre dopływy Amura, jak Zeja lub Sungar, po których jechałem w góry na 700—900 kilometrów. Lecz wracam do tygrysów.

Amur prawie w połowie swego brzegu przerywa pasmo gór Chingańskich. Ogromna rzeka, która już pod Błagowieszczeńskiem ma przeszło kilometr szerokości, po przyjęciu ogromnego dopływu Zei—w czasie pełnej wody rozlewa się na 20—30 kilometrów i przebija się przez góry korytem około $^3/_4$ kilometra szerokim. Można sobie wystawić z jakim szalonym pędem leci rzeka tym stosunkowo wązkim i krętym korytarzem. Otóż góry Chingańskie — to eldorado myśliwych. Tu przebywają marale, których „panty" (młode rogi nie obdarte jeszcze ze skóry) Chińczycy razem z korzeniem rosnącej w Chinach rośliny „Żeń-szeń" kupują na wagę złota, jako najcenniejsze środki chińskiej medycyny. Przebywają tu kozy, sarny i kilka rodzajów antylop począwszy od malutkich „dżejranów" z ciemno-żółtą sierścią na grzbiecie, białą piersią, brzuchem i tyłem, które ujrzawszy niebezpieczeństwo pędzą jak wiatr mając za obronę tylko mocne nogi i doskonałe płuca, kończąc na wspaniałych przedstawicielach dużych antylop o kręconych rogach.

Zwierzęta te dwa razy do roku stadami wędrują: na wiosnę z Mandżurji do tajgi syberyjskiej, jesienią zaś — z tajgi na południe do cieplejszej Mandżurji. Za nimi idzie tygrys. Są to największe okazy jakie widziałem w Azji, z sierścią nie tak błyszczącą jak w gorącym Turkiestanie, ale za to bardziej puszystą. Średnia długość dobrej skóry wynosi 14 stóp od paszczy do końca ogona. Masowe przesiedlenie zwierząt z południa na północ i odwrotnie przechodzi zawsze po lodzie Amura, który przez czas 5-letniego mego przebywania w tamtejszych stronach regularnie tajał między 1—5 maja i pokrywał się gęstą krą w pierwszych dniach października. Mrozy nastają odrazu i rzeka szybko pokrywa się powłoką lodu, po której przechodzą najprzód dżejrany i antylopy, potem ciężkie zwierzęta. Wtedy to na wszystkich tropach zwierzęcych zalegają myśliwi amurscy, kozacy, mandżurowie i chińczycy i biją zwierzynę masowo, więcej troszcząc się o skóry, niż o mięso. Za zwierzyną podąża tygrys. Spotkania z nim tamtejsi myśliwi unikają, Na tropach jednak rzucają trutki od których giną nietylko tygrysy, lecz i inne drapieżniki: barsy (kaftany), rysie, lisy i t. d. Ciekawe, że skóry otrutych zwierząt nie są trwałe i prędko tracą włos (łysieją kawałami) choć na wygląd niczem się nie różnią od skór zwierząt zabitych. Wśród gór Chingańskich na brzegu Amura leży stanica Chingan, gdzie pocztowe statki pasażerskie przystają celem oddania poczty (w pobliżu są bogate kopalnie złota).

Pasażerowie pędem biegli zwykle do zarządu stanicy, gdzie miejscowy ataman kozacki zawsze miał parę skór tygrysich do sprzedania. Dowodzi to, że tygrys był wtedy częstym gościem w tamtych stronach. Ataman ów miał również zawsze spory zapas skórek sobolich, które chociaż ustępowały w dobroci kamczackim, lecz były bardzo ładne. Średnia cena skóry tygrysiej była 100—150 rubli; najlepszego sobola ze srebrnym włosem — 50 rubli. Polowaniem na sobole zajmowali się przeważnie krajowcy, goldowie i czukcze, którzy obowiązani byli płacić jasak (podatek) skórkami sobola, czarno-burego lisa i t. d. Zwierzostan na Amurze swoim bogactwem dziwił nawet i mnie przyzwyczajonego do wspaniałych polowań w Turkiestanie. Ryba „kieta" np. szła z morza taką zwartą masą do Amura, że trudno było wiosłować. Para „kiety" (rodzaj łososia) solonej, albo wysuszonej na słońcu, wagi 5—6 funtów—kosztowała 5 kop.; kawior amurski czerwony który teraz w Warszawie sprzedaje się po 50.000 marek—kosztował 3 kop. funt. Goldowie mieli w swoich osiedlach ogromne jamy wypełnione po brzegi kwaszoną rybą (sól przywożono z Rosji morzem nie była dostępną dla goldów).

Pomimo obfitości zwierzyny polowania na Amurze były dla europejczyka bardzo trudne latem z powodu komarów, zimą zaś z powodu braku schronisk w tajdze przy mrozach dochodzących do 40 st. Swoje przeżycia myśliwskie z czasów 11-letniej służby na Syberji i w Mandżurji opiszę może w „Przeglądzie Myśliwskim" kiedyindziej. Dzisiaj zakończę cykl „Łowów na tygrysy" opowiadaniem w jaki sposób spotkałem ostatniego w życiu tygrysa.

Było to latem 1897 roku. Ulewne deszcze przyniesione przez musson z oceanu Spokojnego spowodowały niebywały wylew Amura, który zalał nawet te stanice które były położone na bardzo wysokim brzegu Amura. Robiłem doroczny objazd całej pogranicznej linji na swoim statku. W stanicy Michajło-Semionowskiej, znajdującej się na wysokim urwisku naprzeciw ujścia dopływu Sungari — lądowałem wprost naprzeciw

okien miejscowego urzędu pocztowego. Niesłychana ilość wody koło stanicy Radde wciskała się w wąwóz, przebity w paśmie gór Chingańskich na przestrzeni około 120 kilometrów i pędziła z bystrością około 8 kilometrów na godzinę. Siedziałem na pokładzie zachwycając się widokiem gór, które to zbliżały się robiąc prawdziwy korytarz z prostopadłemi ścianami, to oddalały się tworząc jakby jeziora z zalanemi wodą chińskiemi wioskami. Miejscami Amur robi takie ostre zawroty, że wyjścia nie widać i zdaje się, że statek musi się rozbić o skały spiętrzone na jego drodze. Płynęliśmy całą siłą pary a porwani przez prąd posuwaliśmy się z szybkością 20 kilometrów na godzinę. Nagle kapitan statku, kozak amurski, rzucił się do mnie wołając: „Pułkowniku, Pułkowniku, patrz pan co się na wodzie dzieje". Spojrzałem i narazie nic rozpoznać nie mogłem. Prąd coś unosił, co raz pogrążało się w wodę, to znów wyłaniało na powierzchni. Dopiero kiedy statek zbliżył się nieco dojrzałem, że to tygrys skłębiony z ogromnym niedźwiedziem. Kazałem statek zatrzymać i rzuciłem się po broń do kajuty. Lecz póki statek zatrzymali i zawrócili, zniosło nas prądem na parę kilometrów, a posuwając się powoli przeciwko prądowi straciliśmy z oczu zwierzęta, które musiały prawdopodobnie utonąć w śmiertelnym uścisku.

W jaki sposób zwarły się? Czy spotkały się przypadkowo przepływając rzekę? Czy walczyły na brzegu i potem wpadły do rzeki — odgadnąć trudno. W każdym razie napadającą stroną był tygrys, bo siedział bokiem na niedźwiedziu i gryzł go w kark z góry. Niedźwiedź był olbrzymi: taki jak w tajgach przebywa. Więcej tygrysów na wolności nie widziałem, no i nie zobaczę już...

Generał *Bronisław Grąbczewski.*

Ku indyjskiej rubieży.

(*Ciąg dalszy*)

III. Trzy dni w górach.

Nazajutrz wybrałem się znowu w góry. Porzuciwszy zwykłą drogę, udałem się teraz wzdłuż jednego ze strumieni, dopływu głównego potoku, nad którym leżał nasz obóz. Był wczesny ranek, powietrze rzeźkie po chłodnej nocy i pełne wonnych aromatów. Wspinałem się, niby po olbrzymich schodach, po złomach skalnych, spiętrzonych jeden na drugi w wąskim żlebie, na którego dnie siwą wstęgą lał się potok, pieniąc się w bezustannych kaskadach.

Wznosząc się ciągle minąłem wąwóz i rosnący wyżej las i wszedłem w strefę połonin, łąk kwiecistych na łagodnym stoku górskim. W lewo biegły one w dal, obramowane zwałami skał, na prawo natomiast w odległości pół kilometra zaczynały się ostre turnie, a nad niemi wznosił się potworny czub górski, uwieńczony białym, niepokalanym szczytem.

Tam skierowałem me kroki. Nie miałem nadziei dotrzeć dziś jeszcze do granic wiecznego śniegu, postanowiłem więc nocować w górach. Napełniona przy potoku manjerka bełkotała u boku zwinięta kołdra spoczywała na plecach, trapiła mię tylko myśl jutrzejszego powrotu, wynalezienia odpowiedniej drogi, gdyż dzisiejsza była nie do przebycia. Chciałem dojść do śnieżnego pokrowca, postawić stopę na zlodowaciałej w słońcu skorupie i okrążywszy szczyt góry, po tamtej stronie szukać zejścia w dolinę.

Im wyżej się piąłem, tem było ciężej. Płuca z trudnością łapały oddech, serce biło, a krew uderzała do głowy. Od czasu do czasu przychodziły formalne ataki górskiej choroby, której przyczyną jest rozrzedzone z powodu wysokości powietrze. Wówczas zatrzymywałem się i, siedząc oparty o głaz, odpoczywałem. W chwilach, gdy czułem się lepiej, po dłuższym wypoczynku, badałem przez lornetę okolicę, nigdzie jednak nie widziałem zwierzyny.

Późnym już wieczorem, po zachodzie słońca, siedząc na brzegu sterczącej nad otchłanią skały, dostrzegłem nademną pod samym krańcem dużego lodowca siedem sztuk kozłów krętorogich, pasących się na zielonej trawie przy źrodliskach. Popękany w ogromne rysy koniec lodowca, oddalony odemnie o kilometr, leżał w szerokim skalistym wąwozie, oddzielonym od sąsiedniego przez ostrą kamienną grzywę.

Przypuszczając, że zwierzęta zatrzymają się przez noc w wąwozie, zroszonym przez lodowcowe źródła i zieleniejącym soczystą trawą, postanowiłem skierować o świcie swe kroki w sąsiednią wązką gardziel i stamtąd przez skały podchodzić ku zwierzynie.

Tymczasem zaś rozłożyłem się na nocleg. W zagłębieniu skalnem rozpostarłem kołdrę tak, aby się okryć drugą połową i wyciągnąłem na

---

*) Urywek z powieści, która ukaże się w roku bieżącym nakładem Księgarni Ś-go Wojciecha w Poznaniu.

twardem łożu zdrożone członki Kieszonkowy barometr wskazywał 3/60 metrów nad poziomem morza. Silny zachodni wiatr, dmący w czasie zmierzchu, ucichł zupełnie, ostatnie blaski słońca znikły z wyniosłego szczytu, który odbijał teraz niby widmo od ciemno-szafirowego nieba. W dole, nad potokiem kłębiły się mgły białe. Mróz brał na noc, zawinąłem się szczelnie w kołdrę i przykryłem z wierzchu skórzaną kurtą, a oparłszy głowę o plecak, zamknąłem oczy i pobiegłem myślą hen daleko, ku rodzinnym stronom.

... Słodko pachnie świeżo skoszone siano na łąkach, siwy tuman wstaje od nagrzanej zatoki jeziornej, północne niebo jaśnieje rumianą tęskną zorzą, a w zroszonych trawach bez przerwy krzyczy derkacz. Ostrożnie stąpając, wychodzi z lasu sarna z dwojgiem młodych i czarnemi mądremi oczyma bada okolicę, a nastroszonemi uszami wsłuchuje się w ciszę wieczorną. Ale łąka wydaje się bezpieczną, prócz grania derkaczy i rechotania żab, żaden dźwięk podejrzany nie mąci spokoju. Lekki powiew nie przynosi złowróżbnych, wrażych zapachów, śmiało więc zanurza się stara koza w bujne trawy, a sarnięta zaczynają gonić się i igrać ze sobą. Ożywcza noc spłynęła nietoperzem skrzydłem na białoruską ziemię i tylko dalekie szczekanie psów przypływa zapomnianą falą skądś, z usypiającej wsi...

Bezmierna tęsknota ogarnęła całe me jestestwo. Dusza wyrywała się ku dalekiej ojczyźnie, przebrzydłą marą zaciążyło przez chwilę poczucie obcości w tych górach, nie obchodzących mię wcale, podczas gdy tam droga mi była każda trawka, każde żywe stworzenie. Wszechmocna siła, zabijająca oderwanego od ojczyzny pierwotnego człowieka, przygniotła mię swą twardą ręką i ugięła ku ziemi, nastrajając myśli na ponure tony zwątpienia i rozpaczy...

Obudziłem się w środku nocy, jakby tknięty jakiemś przeczuciem. Wysoko w niebie tkwił jasny księżyc, zwrócony obciętym brzegiem ku górze. Głucha cisza była wkoło, lecz jakiś głos wewnętrzny mówił mi, że nie jestem tu sam, prastary instynkt pierwotnego myśliwca ostrzegał przed zbliżaniem się nieznanej istoty. Mimowoli, nie podnosząc się z ziemi, sięgnąłem po karabin, leżący tuż obok, i wziąłem go w ręce. kilka chwil upłynęło, kultura wieków zwyciężała instynkt, dowodząc z niezbitą logiką absurdu i składając nagłe ocknięcie się na karb zapomnianych już sennych majaczeń, gdy wtem gdzieś blizko obsunął się kamień i potoczył w dół po pochyłości.

Wlepiłem oczy w zalany seledynowem światłem księżyca stok góry, lecz nie dostrzegłem na razie nic, oprócz czarnych upiornych cieni, rzucanych przez złomy skalne. Po chwili jednak zdało mi się, że coś zaczerniło się niewyraźną plamą. Wstrzymując oddech i leżąc, jak mumja, z napoły tylko wzniesioną głową, wytężałem wzrok, nie będąc pewien, czy rzeczywiście coś nadchodzi, czy też migocą mi złudne majaki, wywołane naprężeniem nerwów ocznych.

Lecz, nie! wzrok mię nie mylił. Teraz spostrzegłem najwyraźniej ruch, ciemna plama przesunęła się nieco w bok, zbliżając się ku mnie. Wkrótce mogłem rozróżnić duże, przysadziste zwierzę ciemnego koloru, kiwające się na boki przy ciężkich ruchach, idące wolno z głową ku ziemi zwróconą. Nie było wątpliwości, miałem przed sobą niedźwiedzia. Celowałem już do zwierza, mijającego mnie bokiem, ale pomimo pozornie widnej nocy nie mogłem ułowić muszki na wizjerze. Kierując się więc linją lufy, strzeliłem i jednocześnie zerwałem się na nogi, nabijając broń, aby być gotowym do następnego strzału. Zakotłowało się coś w ciemności, czarna plama znikła i jednocześnie usłyszałem ciężkie susy uciekającego zwierza.

— Chybiony, — przemknęło mi przez głowę i zacząłem sobie robić wyrzuty, że wogóle strzelałem na niepewne. Zachowałem się nie po myśliwsku, jak nowicjusz, który ledwo się dorwał do strzelby, zaraz pali na lewo i prawo, nie patrząc jak i do czego, więc wymyślałem sobie w duchu, żem nie pohamował gorączki myśliwskiej. Teraz też dopiero zdałem sobie sprawę z niebezpieczeństwa, na jakie narażał mię ten strzał. Zwierz draśnięty kulą i rozwścieczony dopadł by mię w ciemnościach w jednej chwili, zwalił z nóg i zgniótł, tembardziej, że schronić się nigdzie nie mogłem, a drugi strzał byłby wątpliwy, wątpliwszy jeszcze niż pierwszy.

Przygoda jednak skończyła się szczęśliwie. Nie ruszyłem się z miejsca i przykryty znów kurtą, wpatrywałem się w zagubioną w otchłani nieba, a jednak lejącą snopy światła tarczę księżyca.

Zasnąłem dopiero nad ranem i obudziłem się równo ze świtem, przemarznięty, ale ochoczy i rześki.

Pierwsza myśl była o koziorożcach, lecz lorneta skierowana ku wylotowi lodowcowego wąwozu nie odkryła ani śladu pożądanych zwierząt.

Jak błyskawica, przeleciało przez głowę wspomnienie nocnej przygody i w chwilę później znalazłem się na miejscu strzału i w niepewnem jeszcze świetle poranku zacząłem badać grunt. Widocznie chybiłem, gdyż na tropie nigdzie farby nie było, widniały natomiast potężne rysy od olbrzymich pazurów przy nocnych susach zwierza.

Kierowałem me kroki ku wązkiej gardzieli podług wczorajszego planu. Szedłem wolno, wspinając się bez wysiłku, wypoczęty po uprzednich trudach. Badając przez lornetę okolice, ujrzałem wyżej, w kierunku mojej drogi kilka sztuk, które, sądząc z ruchów, bardziej były podobne do baranów. Szły one ku górze i niebawem znikły mi z oczu za wyniosłością gruntu. Przyspieszyłem kroku i po godzinie dotarłem do wylotu skalnej gardzieli. Tu, porzuciwszy poprzedni zamiar, wstąpiłem na prawe zbocze i dotarłszy do krawędzi grzbietu, objąłem rzutem oka leżącą za nią kotlinę.

Na brzegu skaczącego po kamieniach strumyka, między tryskającemi wśród zwałów skalnych kępami traw pasło się pięć sztuk baranów, z których dwa samce z ładnemi rogami.

Skonstatowałem odrazu, że należą one do innego gatunku, niespotykanego dotąd ani prze-

zemnie, ani przez mych współtowarzyszy. Większe od widzianych dotychczas, były też krępsze i jakby mocniej na nogach osadzone. Rogi bajecznie zakręcone odbiegały spiralną linją wszerz od głowy i dosięgały u jednego z osobników kolosalnych wprost rozmiarów.

Opierając się na tym właśnie rozroście rogów, oraz na solidnej budowie, nie miałam wątpliwości, że znajdowały się przedemną tak zwane „archary", największy i najwspanialszy gatunek górskiego „argali", zamieszkujący cały Pamir i Tybet.

Zacząłem budować plan zdobycia rzadkiej zwierzyny. Korzystając z rozsypanych w górze strumienia złomów skalnych, postanowiłem podchodzić od strony wierzchołka góry, tembardziej, że barany jakby wskazywały tendencję posuwania się wzwyż, zatem w odpowiednim dla mnie kierunku. Wiatr też miałbym sprzyjający, od zwierząt ku mnie. Opuściłem zatem punkt obserwacyjny i cofnąłem się wstecz, a odszedłszy po pochyłości kilkadziesiąt kroków, podążyłem w obranym kierunku, wspinając się coraz wyżej wraz ze wznoszącą się stopniowo skalną grzywą.

O kilometr dalej wychyliłem się znowu ostrożnie za krawędź i zapuściłem wzrok w dolinę: barany pasły się spokojnie, były teraz poza mną w odległości mniej więcej 400 metrów.

Największą trudność przedstawiało przedostanie się na dno doliny tak, aby nie spłoszyć czujnych zwierząt. Zastanawiałem się właśnie nad tym problemem i rozmyślałem, przykucnięty u skały, gdy wtem ruch z boku sciągnął moją uwagę. Nieznacznie zwróciłem głowę i serce zabiło mi jak młot, a krew gorącą falą uderzyła do głowy. W odległości 60-ciu kroków po czystem zupełnie miejscu, bokiem do mnie szły trzy koziorożce kręcorogie, z których pierwszy ogromny kozioł o pięknych rogach.

Błyskawicznym ruchem poderwałem karabin, trzymany w prawem ręku, lecz nim doniosłem go do ramienia, kozły przeszły, jak zwiane przez wiatr liście. Wprost przed siebie sadził olbrzymi kozioł z dumnie wzniesioną głową i rogami prawie dytykającemi krzyża, lecz oto błyszcząca srebrna muszka oparła się o rude cielsko i suchy trzask karabinowego strzału stokrotnem echem potoczył się po skalnych zboczach. Ale wspaniałe zwierzę nie przerwało ani na chwilę równego biegu, i trójka mknęła dalej jak wicher, wyżej i wyżej, migając między skałami.

Stałem oniemiały i przygnieciony niefortunnym wynikiem. Spojrzałem wstecz; dolina była pusta, barany znikły bez śladu. Byłem niepocieszony. Z przyzwyczajenia raczej niż z potrzeby udałem się na trop. Uczył mię kiedyś mój stary białoruski mentor, że nie należy nigdy pozostawiać kulowego strzału bez dokładnego obejrzenia, i zwyczaj ten niejedną sztukę przysporzył w mym myśliwskim dzienniku.

Poszedłem więc na trop i, oglądając dokładnie teren, posuwałem się w kierunku biegu zwierząt.

— Czyżbym spudłował? -- myślałem. — Cel duży, meta niewielka, a broń znana i pewna!

Uszedłem około 200 kroków i wtem o mało nie krzyknąłem z radości — na kamieniu przed sobą spostrzegłem rospryskaną w wieloramienną gwiazdę pierwszą kroplę krwi. Zatem kula trafiła, a jak, o tem przekonamy się później. Szedłem tropem. Ostry rytm racic znaczył wyraźne ślady to na zwietrzałych w żwir kamieniach, to na obrosłej liszajami powierzchni skalnej.

Droga stawała się coraz trudniejsza, wstęp coraz bardziej urwisty, piętrzące się skały i głębokie żleby utrudniały pochód, a wzrastająca wciąż wysokość zapierała dech. Farba szła coraz wyraźniej, coraz częściej widać było to pojedyńcze krople, to po kilka naraz, wreszcie każdy skok znaczył się już krwawem znamieniem.

W pewnej chwili stwiedziłem, że tropem, który śledziłem, szła jedna tylko sztuka, że postrzelony kozioł oddzielił się od swych towarzyszek, i to dodało mi energji, jako symptom ciężkiego niedomagania.

Miejscami, na gruncie równiejszym przechodziłem już przez płaty śniegu, zbliżając się widać do granicy wiecznej zimy.

Wieczór nadchodził. Pięć godzin byłem już na krwawym tropie i zaprowadził mię on w miejsca tak dzikie i niedostępne, jakich mało widziałem w mem życiu.

Zaiste, tylko odwieczny syn gór, koziorożec, mógł znać tę perć podniebną, po której za nim szedłem, zapominając o bożym świecie, wpatrzony jedynie w pisaną krwawemi zgłoskami historję tropionego zwierza.

Wreszcie dostrzegłem go. Szedł wolno krawędzią skalną, przystając od czasu do czasu, jakby już nie miał sił do dalszej walki z nadchodzącą śmiercią.

Trzysta metrów dzieliło mię jeszcze od niego, lecz chciałem zakończyć mękę biednego zwierzęcia. Nie ryzykowałem zresztą nic, gdyż uciec i tak mi już nie mógł. Oparłem karabin o skałę i, wybrawszy chwilę odpowiednią, strzeliłem. Wierna broń nie zawiodła i kozioł trafiony na łopatkę wspiął się dęba i runął w dół, tocząc się ku mnie po pochyłości.

Teraz dopiero, dotarłszy do tego oddawna upragnionego łupu, spotrzegłem, jak jest późno i jak jestem zmęczony. Wkoło mnie piętrzyły się dzikie, nieznane mi góry, ostrymi szczytami zakrywały horyzont, a w jednej z luk widziałem wyniosły, biały szczyt, tak blizki, że dotrzeć doń zdawało się fraszką.

Noc nadchodziła szybkiem tempem, upatrzyłem wię odpowiednie miejsce i przygotowawszy odzież na nocleg, zabrałem się do posiłku.

Tu i ówdzie widniały płaty stwardniałego na mrozie śniegu; rozgrzany ruchem, nie czułem chłodu, lecz teraz mróz brał na noc i ze strachem myślałem o czekającym mię noclegu, nie opromienionym blaskiem ogniska, przyjaciela myśliwego.

A ognia nie było z czego rozpalić, gołe skały i lód nie mogły dostarczyć potrzebnego materjału. Barometr wskazywał 4500 metrów, znajdowałem się zatem o przeszło pół kilometra ponad granicą wiecznego śniegu, która jednak, jak wiadomo, nie

jest linją stałą, a bardzo zależną zarówno od topografji terenu i składników gruntu, jak i warunków klimatycznych, nie mówiąc naturalnie o szerokości geograficznej.

Biały szczyt nademną, nieustalony jeszcze w geografji, zwany przez tuziemców Sia-kuch, musiał mieć zatem około 6000 metrów, a może i więcej. Krążąc po wieczerzy w blizkości miejsca spoczynku, natrafiłem na wgłębienie, coś nakształt małej groty, utworzonej przez opartą o sąsiedni głaz skałę i, oczyściwszy je z drobnych kamieni, umieściłem się tam w nadziei, że cieplej mi będzie pod nawisłą skałą.

Zmęczony piekielną drogą, usnąłem zaraz, wkrótce jednak zbudziło mię dotkliwe uczucie zimna. Wytknąłem głowę z pod kurty, ale jeszcze prędzej schowałem ją z powrotem. W czeluściach górskich zrodzona, naleciała skądś raptownie śnieżna nawałnica, zasypując świat boży białemi tumanami, skłębionemi przez wichurę w potworne wiry i zwały. Chłodny, przejmujący do szpiku kości wiatr dmuchał przez otwór wejściowy, sypiąc mi w oczy śnieżnemi kłębami i wyjąc żałośnie w szparach skalnych, niby stada pędzonych do piekła potępieńców.

Owinięty jaknajszczelniej, dygotałem cały, bojąc się jednocześnie wytknąć nosa nazewnątrz i rozgrzać się ruchem. Po niejakimś czasie jednak przekonałem się, że wiatr już na mnie nie wieje, chociaż przeciągły huk jego słyszałem wciąż gdzieś w przestrzeni.

Wyjrzałem z pod mego przykrycia i ze zdumieniem spostrzegłem, że biaława plama, oznaczająca wylot mej kryjówki, znikła, i że otaczają mię zupełne ciemności. Zapaliłem zapałkę i ujrzałem, że cały otwór zasypany został przez wydmę śnieżną.

W pierwszej chwili uczyniło mi się straszno, i mrówki nie chłodu, lecz lęku pobiegły po krzyżu, niebawem jednak doszedłem do przekonania, że jest to poniekąd mojem zbawieniem, że w zacisznym kąciku nie zmarznę, co by mi mogło grozić na dworze, a rano przebiję się z łatwością przez miękką jak puch warstwę śniegu.

Uspokojony więc wyszedłem z pod kołdry i, siedząc lub klęcząc naprzemiany (wyprostować się w mej chałupie nie mogłem z powodu zbyt niskiego sufitu) zacząłem wykonywać szereg szybkich ruchów, mających na celu rozgrzanie skostniałego organizmu.

Jakoż niebawem uczułem dobroczynne ciepło, rozchodzące się wraz z krwią po żyłach, dałem znów nurka pod kołdrę i wkrótce zasnąłem. Nieprzywykły do spania w takiej ciasnocie, gdzie świeże powietrze miało słaby dostęp kilkoma wązkiemi szczelinami, przeżywałem we śnie ciężkie koszmary, budząc się często i zmieniając pozycję.

Tak przeszła ta noc, spędzona na wysokości o paręset tylko metrów niższej od szczytu Mont-Blanc. Gdym się ostatecznie obudził, słabe światło dzienne zaglądało paru szparami z boku od głównego zasypanego wejścia. Zabrałem się do pracy: odgarniając śnieg rękami i kolbą od karabinu, albo wprost rozpychając go swem ciałem, przebiłem się z łatwością przez półtorametrową warstwę i wydostałem się na zewnątrz.

Cudowny słoneczny ranek olśnił mię zupełnie. Cały krajobraz zmienił się od wczoraj, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Mniej spadziste stoki górskie i gzemsy skalne bielały niepokalanym świeżym śniegiem, od którego odbijały jaskrawo ciemne skały.

Rozglądając się wkoło, doszedłem do wniosku, że teraz dopiero zaczyna się prawdziwe niebezpieczeństwo. Koźla ścieżka, którą tu przyszedłem, zasypana przez śniegi, nie mogła mi już służyć za drogowskaz, a uniesiony pogonią, mało zwracałem uwagi na okolicę i teraz okazało się niepodobnem odtworzenie w pamięci wczorajszej drogi.

Trzeba było jednak próbować. Zwinąwszy manatki, umieściłem je wraz z głową koziorożca na plecach i wyruszyłem w drogę. Stąpać trzeba było z największą ostrożnością, probując gruntu pod śnieżnym puchem, i tylko w miejscach, gdzie wichura śnieg zmiotła, obnażając skały, mogłem posuwać się szybciej.

Dobry duch czuwał jednak nademną i tak jak wczoraj, nie zdając sobie sprawy, zaszedłem aż tu, tak i dziś, wiedziony instynktem, nie zmyliłem drogi i o południu dotarłem do miejsc, gdzie śniegu już nie było i gdzie zaczynały się łagodniejsze stoki.

Włodzimierz Korsak.

(C. d. n.)

Pieśń myśliwska.

Gdy wybije mej śmierci godzina
pochowajcie mię w kniei zielonej...
Niech nademną zaszumi gęstwina
hymn myśliwski radości minionej...

Kiedy wiosna radosna nastanie
niech nademną pieśń głuszca posłyszę,
niechaj słonek miłosne chrapanie
do snu moją mogiłę kołysze...

Gdy po letnim szaleństwie zieleni
szczere złoto okryje konary,
gdy nadejdzie cudny czas jesieni,
niech nademną zagrają ogary...

Na ten głos mojej duszy tak miły
żar zakipi w sercu wystudzonem —
i ożyję i wstanę z mogiły,
chwycę broń i polecę za gonem...

Juljan Ejsmond.

Figle lisie.

Byłem wówczas na pierwszym roku prawa— młodym niedoświadczonym chłopcem i takim samym myśliwym — bo z trzechletnią zaledwie praktyką. Przyjechałem na ferje Bożego Narodzenia do domu i zaraz drugiego dnia mieliśmy jechać z ojcem w sąsiedztwo na polowanie. Dzień zeszedł prędko na przygotowaniach i próbowaniu 20-ki w ogrodzie, wieczorem zaczął padać obfity śnieg — zapowiadała się ponowa.

Rzeczywiście rano było całkiem biało — trochę przymarzło, dzień był prześliczny.

Polowaliśmy w łozach nad Dniestrem i obok na starem korycie dniestrowym. W pierwszym i drugim miocie nie przyszedłem do strzału — wogóle zajęcy było mało — lisa nie spotkaliśmy. W trzecim miocie otrzymałem stanowisko na flance a raczej ostatnie na linji myśliwych. Łozy były w tym miejscu dość rzadkie—widać było w głąb na 300—400 kroków bardzo dobrze, na lewo pole. Miot nie był zbyt wielki, ale ponieważ śnieg dobrze napadał, naganka szła wolno. Jak tylko ruszyła zobaczyłem na jakich 400 kroków wprost przed sobą lisa — jak zupełnie zresztą wolno zaczął się w kierunku do mnie posuwać. Stałem za jakimś pękiem łoziny dość marnie zakryty i choć byłem zupełnie przygotowany do strzału— z uporem oddalałem od siebie tę myśl, aby lis był tak głupi i szedł dalej prosto na mnie — zdawało mi się, że musi skręcić albo na prawo i uszczęśliwi któregoś z moich sąsiadów, albo poprostu da susa w pole zupełnie nieobsadzone i tyle go będę widział.

No, ale mimo wszystko wzroku od niego nie odrywałem. Tymczasem lis, nic sobie nie robiąc z mego rozumowania, sunął wprawdzie wolno niemniej jednak prosto na mnie. Przystawał, oglądał się, coś wietrzył i powoli zbliżał się coraz bardziej. Był już może na jakich 150 kroków, gdy w tem zupełnie niespodziewanie z prawej strony na kulawy sztych wyszły na mnie dwa zające jeden za drugim o jakich 20 kroków. Wymarzony wprost dublet. Drgnąłem cały, ale jeden rzut oka na mego lisa ostudził moje zapały. Lis

przyspieszył kroku i truchcikiem sunął wprost na mnie.

Zające pożegnałem smętnem spojrzeniem aż tu raptem mój drugi sąsiad, sądząc zapewne żem zaspał albo oślepł, ryknął — tak mi się przynajmniej wówczas zdawało — „pilnuj.“ Pomyślałem sobie, że i zające djabli wzięli i lisa, ale „moc Boska na wszystko“, wytrzymamy i to.

Lis mój jednak musiał mieć jakieś zamiary samobójcze, bo wprawdzie zwolnił tempa, niemniej jednak nie zmienił kierunku i będąc mniej więcej na 100 kroków odemnie czołgał się formalnie dalej.

Była to jeszcze za daleka odległość dla mojej dwudziestki, niemniej jednak broń miałem już przy oku i gdyby mój lis był zboczył cokolwiek na prawo lub lewo, byłbym — wychodząc z zasady, że jak strzelę to mogę zabić, a jak nie to napewno nie zabiję — bezwzględnie strzelał.

A lis sunął ciągle naprzód. 90 kroków, 80, 70, 60, zaczyna mi się robić gorąco, strzał już pewny — żeby tylko nie spudłować. Czułem, że krew mi tętni w skroniach, serce wali jak młotem. Wprawdzie to trochę niepoważnie wygląda taka emocja przy marnej lisiurze, ale cofnijcie się kochani czytelnicy pamięcią w wasze młodzieńcze lata, a z pewnością mnie zrozumiecie.

Chciałem już teraz przypuścić lisa na 20 kroków i dopiero wówczas strzelać. Szedł prosto na mnie—nawet, jak mi się zdawało, trochę prędzej—teren był prawie czysty, ryzyko żadne.

Już, już miałem ciągnąć za cyngiel, gdy wtem lis usiadł za jakąś małą kępką wikliny. Do siedzącego strzelać fe — to nie wypada, do tego przez krzak, może strzał znieść, mogę pokaleczyć, a nie zabić. Zaczekajmy chwilkę, teraz już mi nie ujdzie. Czekam więc cierpliwie i zdaje mi się, że widzę kontury jego z za krzaka, że widzę jak się rusza i kręci, ale jakoś nie wychodzi. Tymczasem hałas nagonki zbliża się coraz bardziej. Powstaje mi w głowie myśl, że gdy nagonka zbytnio się zbliży, strzał może się stać bardzo trudny a kto wie czy nie niemożliwy. Czekam jednak cierpliwie, bo z drugiej strony nie mogę zchodzić ze stanowiska i iść w miot. Lis siedzi jak zaklęty.

Decyduję się wreszcie strzelać do siedzącego przez krzaki, ale czy to jasne słońce i odblask jego na śniegu, czy też moje zdenerwowanie — dość, że jakoś lisa nie widzę—musiał się położyć i chce nagonkę przeczekać, czy co za licho. A dwaj najbliżsi chłopcy nie dalej już od lisa jak 30 kroków. Czuję, jak mnie zaczyna pasja szewska porywać—tracę spokój i zaczynam za chwilę wołać do chłopców „a pilnuj tam lisa“. Chłopcy robią dość głupią minę, rozglądają się w prawo i w lewo, co mnie do reszty wyprowadza z równowagi, a natomiast wprowadza w ruch, bo opuściwszy stanowisko zaczynam iść do krzaka. Trudno mi opisać moje zdziwienie, gdy doszedłszy w najwyższym naprężeniu nerwów, lisa nie znalazłem. Przyznaję, że prędzej byłbym się śmierci nagłej spodziewał niż tego. Z początku przetarłem oczy i zdawało mi się, że uległem jakiemuś optycznemu złudzeniu, ale najwyraźniejszy trop do krzaka przeczył temu.

Rozwiązanie zagadki znalazłem prędko, bo przyjrzawszy się tajemniczemu miejscu dokładnie, odkryłem w środku krzaka — nadzwyczaj dowcipnie ukryte—wejście do jamy lisiej.

Mogłem do lisa strzelić doskonale na 50, 40 i 30 kroków i tylko brak doświadczenia myśliwskiego spowodował, że dałem się tak haniebnie wykiwać.

Byłem strasznie zdekoncertowany, cały dzień już mi nie szło, a do tego sąsiad mój rozgłaszał moją sławę każdemu kto chciał i nie chciał.

Jedno mam tylko pocieszenie, że na lisie — nie wiem czy tym czy nie tym, ale w każdym razie z tej jamy wychodzącym — zemściłem się srodze w pół roku potem w lipcu, straciwszy jednakże przedtem 3 noce na siedzeniu na zasiadce koło jamy.

Andrzej Łada.

Pies myśliwski.

(Dalszy ciąg)

Greyhound.

Pod tym względem chart angielski (greyhound) jest nie pobity. Pies ten wyraźnie się odcina od grupy pozostałych chartów, co naprowadziło Studera na domysł, iż chart ten pochodzi od specjalnego typu Canis familiaris. I faktycznie, w okolicach jeziora Bodeńskiego i w irlandzkich trzęsawiskach torfowych odkryto czaszkę, która ma wiele wspólnego z czaszką współczesnego greyhounda. Jest to według Bogdanowa neolityczna odmiana typu C. f. Inostranzewi, od którego pochodzi „łajka“ rosyjska. Czaszka ta różni się zasadniczo od typu czaszki pozostałych chartów tem, iż jest znacznie między uszami szersza. Odkrycie to potwierdzają współczesne kluby hodowli chartów czystej krwi, które wymagają od greyhounda głowy suchej i długiej, jednak d o s t a t e c z n i e

szerokiej między uszami, gdy głowa np. charta rosyjskiego ma być ściśnięta z obu stron i bardzo wąska. Fakt ten wpływałby ujemnie na twierdzenie Kellera, iż wszystkie charty pochodzą od wilka abisyńskiego; chociaż posiada on też jedną słabą stronę, mianowicie: że dotąd, zdaje się, znaleziono dwa tylko egzemplarze tego typu czaszki. Pomijając jednak względ pochodzenia, dzisiaj greyhound przedstawia typ skończonego, klasycznego charta o zupełnie swoistej fizjognomji; jest on jednym z tryumfów hodowli angielskiej — tem większym, że charty, wielce wyróżniające się kształtami i przystosowaniem od innych psów, nie znoszą niemal zupełnie krzyżówki. Jednak w tym względzie były robione w Anglji próby, które zostały uwieńczone powodzeniem. Darwin podaje mianowicie, że „lord Oxford krzyżował sławne swe charty, którym brakło odwagi, z buldogiem. Po szóstem lub siódmem pokoleniu, powiada Youatt, nie pozostał żaden ślad z postaci bulgoga, lecz odwaga jego i nieokiełznana zawziętość zachowały się". Do tego trzeba jeszcze dodać, że znakomicie się poprawiła muskulatura zadu. Zniknięcie wpływu typu buldoga już w 6-em pokoleniu tłumaczy się tym, że tylko parę kropli jego krwi zostało dodane, t. zn., że krzyżówka raz się odbyła, potem jednak psy krzyżowane łączono z najczystszą krwią, dobierając okazy zbliżone najbardziej do pierwotnego typu. Dziś też greyhound jest ideałem charta. Posiada on wygląd smukłego, lekkiego, przystosowanego do szybkiego biegu zwierzęcia. Łopatka skośna i długa, doskonale przylegająca do normalnych płaskich żeber. Ramiona dźwigni zadu ustawione pod najwygodniejszemi kątami, głęboka i wąska klatka piersiowa, mieszcząca wspaniale rozwinięte narządy oddechowe i wielkie serce, długi, choć mocny i muskularny pysk, służący jednocześnie do rozcinania powietrza i chwytania zwierzyny, wreszcie żmijowata długa szyja, pozwalająca na dopadnięcie zwierza w pełnym biegu z boku — dopełniają obrazu tego swego rodzaju follblut'a. — A przytym jakże korzystnie zarysowane passywne i aktywne agenty ruchu. Klasycznie zbudowany „corps de machine" o długich częściach motorycznych i krótkim łączniku, nakoniec minimalnej wysokości podpory w nogach, począwszy od napięstka i stawu skokowego w dół. Dodajmy do tego zbite mięśnie o dużej sumie powierzchni przekroju i wielkiej długości—a otrzymamy najlepszą budowę przystosowaną do krótkich biegów o wielkiej szybkości. Uszy posiada greyhound półstojące, odrzucone w tył, oczy powinien mieć wyraźne, ciemne i ogniste. Szerść gładka. Na maść zwraca się mniej uwagi. Najbardziej poszukiwane są barwy jednolite: czarna, czerwono-brunatna, płowa z czarną mordą, następnie moręgowata i łaciasta.

Deerhound.

Pokrewnemi greyhoundom są deerhoundy, czyli szkockie charty, służące do szczucia jeleni. Jest to jedyny rodzaj charta przystosowany do takiego celu, który jedynie w Szkocji mógł być osiągalnym. Jako psy, używane do polowania na jelenie, musiały być deerhoundy większe i masywniejsze niż greyhound'y. I tem tylko zasadniczo różnią się od ostatnich. Swą charakterystyczną masę otrzymały one od dogów, z któremi były przekrzyżowane. Prócz wzrostu różnią się deerhoundy od greyhoundów swą ostrą szerścią, o maści sino-popielatej, popielatej, lub buro czarno-pręgowanej, które to cechy zdradzają drugą krzyżówkę charta pierwotnego z jakiemiś psami ostrowłosemi. Dziś psy te, razem z pokrewnemi sobie wilczarzami (irish wolfhounds), używanemi dawniej do polowania na wilki — należą jedynie do psów luksusowych i wystawowych. Do tej grupy należą też nieistniejące już dziś charty kurlandzkie, podobne do deerhoundów, między innemi ze śladów gęstych bród i brwi; psy te były prawdopodobnie przez baronów kurlandzkich ze Szkocji sprowadzone. Wspomnieć o nich należy, gdyż miały pewien wpływ na charty polskie, o których będzie niżej.

Borzaja. Barzoi

Teraz zaś zastanowimy się nad chartem rosyjskim (borzaja).

Z powiedzianego uprzednio można było zauważyć, że charty afrykańskie (sloughi) krutkouche i do pewnego stopnia polskie — stanowią jedną grupę mającą odrębny charakter, różną od grupy chartów długouchych azjatyckich. Również charty zachodnie, angielskie z greyhoundem na czele zajmują odrębne stanowisko. Charta rosyjskiego jednak do żadnych z tych trzech grup zaliczyć się nie da, gdyż posiada on swój typ swoisty, zarówno w wyglądzie, jak i w robocie. Typ ten został wypracowany dzięki specjalnemu przystosowaniu i jest najlepszym dowodem, że „borzaja" jest rosyjskiego pochodzenia. Przystosowanie „borzaji" jest szczególne i wypływa z wyłącznego rodzaju polowania. W Rosji mianowicie był uprawiany w magnackich fortunach sport polowania z chartami przy współdziałaniu gończych. Tereny do tego muszą być poprzerzynane niewielkiemi kniejami, skąd gończe wyganiają grubego zwierza; zadaniem charta jest go na stosunkowo niewielkiej przestrzeni dopaść i zadusić. Otóż wykonywanie tego zadania wyrobiło w charcie rosyjskim t. zw. rzut (brosok), który polega na tem, że chart ten, dopędzając zwierza, zdobywa się na parę susów ostatecznych tak błyskawicznych, że można go wtedy doprawdy do spadającego gromu porównać. Możność wydobycia z siebie tak niezwykłej energji wynika z nadmiernego rozrostu i przebudowania zadu, dzięki czemu została tu nieco naruszona harmonja między przodem i zadem, jaką widzieliśmy u greyhound'a. Skutek tego przebudowania jest taki, że zad przemęcza przód (schematyczna figura rozstawienia kończyn zwierzęcia zbliża się do trójkąta), gdyż przewaga zadu nad przodem jest tak istotna, iż niekiedy podczas rzutu schwytawszy zwierzynę, chart nie jest w stanie się ostać—i koziołkuje kilkakrotnie przez głowę.

Chwytność „borzych“ jest jednak tak wielka, że zwykle pojmanego zająca lub lisa podczas takiego upadku — nie wypuszczą. Najczęściej charty rosyjskie są używane na wilki i, jako wilczarze mają słusznie największą sławę na świecie. Pod względem szybkości jednak ustępują nietylko greyhoundom, ale też i chartom azjatyckim długouchym, dzięki czemu, był okres, że „borze“ temi ostatniemi krzyżowano. Cel jednak był chybiony. Co do pochodzenia „borzych“, jako rasy, niema poważnych danych. Rosyjscy kinologowie uważają, że północne łajki odegrały rolę w ich powstaniu, p. Sztolcman zaś przypuszcza, iż hart rosyjski „pochodzi z krzyżowania chartów tatarskich długowłosych z krótkowłosemi zachodnioeuropejskiemi“. Jak jest jednak—istotnie niewiadomo. Pogląd p. Sztolcmana wydaje mi się prawdopodobniejszy, gdyż podkład chartów rosyjskich musi być tatarski, zaś na klasyczną przemianę i uformowanie stojących uszu charta azjatyckiego mógł wpłynąć raczej greyhound niż łajka. Chart rosyjski jest jednym z najpiękniejszych zwierząt kulturalnych istniejących na świecie. W ogólnym wyrazie swoim łączy on dwie cechy usposobienia rzadko w parze chodzące: energję zawziętości i wdzięk niemal kobiecy. Klasyczny hart rosyjski powinien mieć łeb wązki i wydłużony, uszy małe ostro ścięte, na nosie lekki garb, ogon długi prawie do ziemi, kształtu kosy, szyję krótką i bardziej spłaszczoną niż u greyhound'a. Budowa winna odpowiadać warunkom niezwykle szybkiego biegu. Sierć na głowie krótka i delikatna. Zresztą bujna i jedwabista. Maść biała lub też biała w żółte, czerwone, jasno siwe lub popielate łaty.

(C. d. n.) *Jan Grabowski.*

Zwierzyniec poznański.

Poznań nazywają miastem ogrodów i słusznie, gdyż rzadko które miasto poszczycić się może nietylko ilością, ale przedewszystkiem jakością t. j. stylowym założeniem i starannem utrzymaniem zakładów ogrodniczych. Plac Wolności zamieniony w ostatnim czasie zapomocą drzew laurowych i palmowych na małą Niceję, dawniejsze wały przeistoczone na promenady, podobnie krakowskim plantom okrążające środek miasta połączone z ogrodem Szopena i Marcinkowskiego, ogród botaniczny obfitością okazów flory, jako i wypieszczonym utrzymaniem, wszystkie te zakłady dają chlubne świadectwo nietylko prezydentowi i ojcom miasta, ale przedewszystkiem ogrodnikowi miejskiemu, składają świadectwo gustu i artystycznego zrozumienia swojego fachu. Poznań i w tym kierunku policzyć można do najwięcej estetycznie rozwiniętych miast naszej ojczyzny. Równolegle z temi letniemi salonami wielkopolskiej stolicy stanął do konkursu o piękno położony niemal w środku miasta ogród zoologiczny, jedna z kulturalnych spuścizn, którą odziedziczyliśmy po niemcach z czasów zaborczych. Sukcesja ta tem większego jest dla nas znaczenia, ponieważ powstała może jako jedyna instytucja wspólnemi siłami i wspólną pracą dwuch na innych polach zawsze wrogich sobie narodowości.

Nie mogę podać tutaj powstania i rozwoju zwierzyńca poznańskiego w całej rozciągłości, powiem tylko, iż założono go w roku 1871 jako towarzystwo prywatne, a rozwinąwszy się dzięki ogólnemu poparciu w potężny, ale i kosztowny zakład, przeszedł uchwałą magistratu z lipca 1911 r. na własność miasta Poznania.

Lata wojny europejskiej są rozkwitem jego świetności. Odtąd zaczyna się jego upadek. Wojna a z nią połączony głód i drożyzna, trapiły i trapią po dziś dzień zwierzyniec poznański, to też budowle, jak szopy, kjoski i woljery, chroniące zwierzęta, zaczęły się rozpadać a zwierzostan zredukował się w roku 1920 do połowy i reprezentował już tylko 243 sztuk w 75 gatunkach. Przyczem uległy wymarciu wszystkie małpy i wszystkie egzotyczne i najcenniejsze okazy drapieżców.

I zdawało się, iż ostateczna godzina dla zwierzyńca poznańskiego wybiła, iż zbliża się jego likwidacja.

Ale w ostatniej chwili znaleźli się mężowie, którzy potrafili ochronić ogród od tej katastrofy. Pan Sylwester Urbański, dyrektor Banku Poznańskiego Ziemstwa Kredytowego stanął na czele instytucji, powołał na dyrygenta zwierzyńca p. Szczerkowskiego i oboje z niezwykłą energją wzięli się do dzieła. Polski Związek Myśliwych wydał p. t. „Ratujmy zwierzyniec poznański“ gorącą odezwę do społeczeństwa, której najważniejszy ustęp, jako dzisiaj jeszcze aktualny przytaczam.

„Niemcy z Zarządu i przeważnie z Towarzystwa wystąpili, pozostało więc utrzymanie i dalsze staranie na naszych barkach i naszej głowie. Czy sprostamy zadaniu temu, czy okażemy, że jesteśmy godni objąć spuściznę i prowadzić dalej, przez naszych dotychczasowych nieprzyjaciół rozpoczęte dzieło, jedyny w Polsce zwierzyniec — w Polsce posiadającej 26 miljonów ludności?

(C. d. n.) *Wł. Janta-Połczyński.*

XXII Zjazd Łowiecki M. T. Ł.

Dnia 15 czerwca r. b. odbyło się w salach Kredytowego Banku Ziemskiego we Lwowie o godz. 10 rano doroczne Walne Zgromadzenia zasłużonego na polu myślistwa w Małopolsce Towarzystwa Łowieckiego.

Obrady zagaił prezes M. T. Ł., hr. J. Bielski, który podziękował władzom za popieranie celów Towarzystwa, a do myśliwych licznie zgromadzonych z całej Małopolski skierował apel, by ochraniali słonkę, nie polowali na dziki z psami, a z polowaniem na kaczki wstrzymali się do ½ lipca.

Sprawozdanie z działalności Wydziału zdał sekretarz Tow. Dr. Sander; głównie podkreślił znaczenie kontaktu, jaki nawiązano z Warszawą, wspólnie opracowano statut Centrali Tow. Łowieckich z całej Polski, uzyskano zatwierdzenie statutów t. z. Centrali i 9 lipca zostanie zawiązany ostatecznie główny Polski Związek Myśliwych.

Po złożeniu Sprawozdania Kasowego imieniem Komisji Rewizyjnej uchwalono ustępującemu Wydziałowi absolutorjum.

Do Prezydjum Wydziału M. T. Ł. wybrano przez aklamację hr. Juljusza Bielskiego prezesem, a p. Mniszka A. i Cyryla Czarkowskiego-Golejewskiego wiceprezesami; w grono członków Wydziału weszli pp. Garappich, Borek-Prek, Dr. Sander i Ebenberger, nadto L. Danek, Ćwierzewicz i Manastyrski; ponieważ Dr. Sander zgłosił rezygnację, której Wal. Zgrom. nie przyjęło, przeto polecono Wydziałowi kooptację jednego członka Wydziału.

Po wyborach uchwalono wnioski członków; p. Biesiadeckiego: 1) by amunicji nie sprzedawać bez karty myśliwskiej i karty na broń, 2) by uchwalić regulamin dla myśliwych. Dr. Malsburga; 1) założyć stacje dla badania stanu zdrowotnego zwierzyny, 2) by w anonsach „Łowca" uwzględniać myśliwskie zgłoszenia, 3) by M. T. Ł. prowadziło rejestrację wszystkich towarzystw łowieckich i wreszcie wniosek p. Orskiego, by w okręgu stryjskim zamknąć polowanie na kuropatwy.

Na tem Zjazd o godz. 1 w poł. zamknięto.

Popisowe strzelanie.

Następnego dnia, w sobotę d. 16 b. m. odbyło się tradycyjne, popisowe strzelanie członków M. T. Ł. na strzelnicy wojskowej. Wyniki:

I. Strzelanie z pistoletów do tarcz stałych na 25 kroków 1) Jan hr. Drohojowski.

II. Strzelanie kulami do tarcz stałych na 100 kroków z wolnej ręki: 1) Jan hr. Drohojowski, 2) Józef hr. Jabłonowski, Stefan hr. Badeni.

III. Strzelanie kulami do tarcz stałych na odległość 300 kroków przez lunety: 1) inż. Rubczyński, 2) J. Nowicki.

IV. Strzelanie kulami do dzika na 100 kroków, 1) Józef hr. Jabłonowski, 2) Wł. Burzyński, 3) Henryk Prek.

V. Strzelanie kulami do dwóch naraz puszczonych dzików na 100 kroków: 1) Wł. Burzyński, 2) Cyryl Czarkowski - Golejewski.

VI. Strzelanie kulami do ruchomego lisa na 60 kroków: 1) ppłk. 19 pp. Wł. Pieniążek, 2) A. Jakubowicz, K. Marmarosz.

VII. Strzelanie młodzieży kulami do ruchomego dzika na 60 kroków: 1) Ernest Barański, 2) Z. Sander, 3) Kownacki.

VIII. Strzelanie śrutem do krążków glinianych: 1) A. Jakubowicz, 2) St. Reichardt, 3) St. Prek.

IX. Strzelanie kulami w dubletach do dzików i lisów o nagrodę „Kniei" na odległość 60: St. Reichardt.

X. Strzelanie „Zwycięzców" o wędrowną Nagrodę Mistrzowską: Jan hr. Drohojowski, który tymczasem zdobył tytuł „Mistrza" MTŁ na rok 1923/24; tamtegoroczny mistrz Józef hr. Jabłonowski stracił mistrzowstwo jednym punktem.

Organizacja wzorowa; jako nowość, należy gorąco pochwalić, strzelanie dla młodzieży niżej lat 18.

Czyby też nie warto zastanowić się naszym Towarzystwom myśliwskim nad urządzeniem wszechpolskich zawodów strzeleckich, by wiedzieć, czy nasz materjał strzelców nadaje się na igrzyska olimpijskie w Paryżu w r. 1924? Urządzić to naeży według planu olimpijskiego.

Prof. Rudolf Wacek.

Z Kółek Myśliwskich.

Dn. 27 maja b. r. odbyło się 3 walne zebranie I włościańskiego Koła Myśliwskiego w Wylągach (pow. Puławski). Przewodniczył prezes Koła p. starosta Zygmunt Skrzyński. Zgromadzenie odbyło się niezwykle uroczyście; połączone było z uczczeniem weterana Stanisława Barana, któremu Koło ofiarowało b. znaczny zasiłek pieniężny.

Przewodniczący Zarządu p. J. Ślósarski odczytał szczegółowe sprawozdanie z którego widać, że Koło liczy 96 członków; dochód Koła wyniósł 667.520 mk. Z tej sumy wyasygnowano do rozporządzenia Zarządu 360 tys. mk. p zeznaczając resztę na cele społeczne 1) 50 tys. mk. na budowę pomnika dla ś. p. G. Narutowicza, do Redakcji „Przeglądu Myśliwskiego", 2) 100 tys. mk. dla biednego ucznia Szkoły Rzemiosł w Kazimierzu, 3) 50 tys. mk. na pogorzelców m. Janowa, 4) 25 tys. mk. na „Tydzień Akademika" na ręce Sejmiku Puławskiego i 75 tys. zasiłek weteranowi. Pozatem obłożono się dobrowolnym podatkiem celem zapewnienia egzystencji weteranowi Baranowi.

Kończąc posiedzenie Prezes życzył Kołu pomyślnego rozwoju i myśliwskiego rozkwitu.

I Redakcja nasza śle I Włościańskiemu Kołu Myśliwskiemu serdeczne łowieckie pozdrowienie, uważając działalność jego za niesłychanie owocną i pożyteczną dla ojczystego myślistwa.

Oby jaknajwięcej włościańskich Kół ujęło w ręce swoje ochronę zwierzostanu, nawzór Kółka w Wylągach. Vivant sequentes!

Numer pojedyńczy — **2000** mk. Prenumerata miesięczna (z odsyłaniem do domu) — **4500** mk.; kwartalna — **13.500** mk.

Cena ogłoszeń: strona — **600.000** mk.; 1/2 str. — **300.000** mk; 1/4 str. — **150.000** mk.; 1/8 str. — **75.000** mk.

Druk. Spółka Wydawnicza Powszechna, Szpitalna Nr. 1.